

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

12

— Ależ pogodzicie się, pogodzicie — mówiła rozweselona trochę Anielka, zapominając w ciągu tej rozmowy na chwilę o swoich dręczących myślach — Zobaczysz, że lada dzień przeprosi cię...

— O! To go nie znasz!... On nigdy nie chce przeprosić — taki uparty! Zawsze ja muszę zrobić pierwszy krok do zgody, ale już najgorszy, to ten list od tatusia...

— Cóż tak złego pisze twój ojciec?

— Ktoś doniósł tatusiowi wszystko o Konradzie, tylko to musiał jakoś strasznie opisać, bo mnie tatuś nazywa wyrodną córką, hańbą rodziny, złą, zepsutą dziewczyną... Tatuś pisze, że przyjedzie do Pragi zrobić porządek ze mną... Mój Boże! Co się ze mną stanie? Przecież ja nic złego nie zrobiłam... Czy to mnie nie wolno kochać się?... Mania, Tosia Bielińskie z rozmaitymi chłopcami chodzą, a nikt im nic nie mówi, dlatego, że są tutaj z matką...

— No, Józiu, ty trochę za mało uważasz na pozory, a tem więcej powinnaś strzedz się, ponieważ jesteś bez jakiegokolwiek opieki starszej osoby... Powiedz sama, czy należało jechać samej z panem Zarnickim statkiem na wycieczkę...

Józia milczała ze spuszczoną głową, uznając widocznie słuszność tej wymówki. Po chwili szepnęła: — Taki był piękny dzień, aż coś rwało człowieka za miasto, a Konrad tak prosił...

— Powinnaś więcej dbać o swoją opinię — strofowała Anielka — No, ale za dużo się nie martw, opowiesz ojcu szczerze wszystko, jak było i cała sprawa szczęśliwie się skończy... Ojciec nie będzie przecież zwał na jakieś niegodziwe plotki.

Anielka domyśliła się, że Zerwanówna wykonała swoją groźbę i napisała list, prawdopodobnie anonimowy, do pana Maliniewicza, ojca Józia.

Dalszą rozmowę przerwał pannom Montwiłł, który wchodząc już od progu wołał:

— Panno Aniolo, porywam panią... Śliczny dzień dzisiaj, ciepło, jasno, słonecznie... Przejdziemy się trochę... Pani trzeba powietrza, a i tak w kuchni niema teraz nic prawie do roboty... Panna Józia da sobie sama radę, prawda?

— Ależ naturalnie — potwierdziła Józia — niech Anielka idzie na spacer... Ona taka bledziutka...

— Najlepsza panno Józiu — zawołał wesoło Montwiłł, podając Józii wiązanek fiołków — proszę przyjąć te fiołki w dowód wdzięczności za zwolnienie panny Anioli. A żeby się pani nie nudziła, przysięgam ci towarzysza... Namówię Zarnickiego, żeby się już raz zdecydował wstąpić w progi „kuchni“, bo od godziny krąży koło kamienicy i zastanawia się: wejść czy nie wejść?

Józia splonęła silnym rumieńcem.

— — — — —
Montwiłł usiłował wesołymi żartami, pełnymi humoru opowiadaniem, dowcipnymi uwagami wywołać uśmiech na bladej, smutnej twarzy Anioli. Pozwalał sobie nawet na trochę złośliwości, krytykując dowcipnie spotykanych przechodniów.

Z rozmysłem unikał wszelkich tematów, któreby mogły nasuwać jakiegokolwiek smutne refleksje, bolesne wspomnienia...

A kiedy na ustach Anioli ukazywał się leciutki uśmiech, ciepła fala radości zalewała mu serce.

Może przecież uda mu się rozweselić ją, wyrwać z tego błędnego koła wspomnień o narzeczonym, może...

Dalej Montwiłł nie śmiał jeszcze marzyć...

Pragnienia jego na razie ograniczały się do tego, aby ją zabawić, zająć, aby odwracać jej myśli od przeszłości.

W pani Krystynie miał gorącą zwolenniczkę. — Ciotka błagała go, aby jak najczęściej towarzyszył Anioli i nie pozwalał jej zatapiać się w ponurych myślach.

— Drogi panie Stanisławie — mówiła pani Wolska — niech pan nie odstępować tej dziewczyny, niech pan stara się ją rozweselić, bo doprawdy obawiam się, że wstąpi do klasztoru albo... pójdzie na uniwersytet! Niech pan sobie wyobrazi, że się już zapoznała z jakimiś studentkami i kupiła mnóstwo rozmaitych podręczników... No! Tego by mi jeszcze potrzebował! Moja Anielka studentką! A ja niestety nie mogę teraz wiele zajmować się nią, bo szpitale pochłaniają mi tyle czasu! Teraz Wielkanoc się zbliża, muszę myśleć o „święconem“ dla moich biedaków...

Montwiłł skwapliwie wykonywał polecenie pani Krystyny i jak tylko mógł najczęściej szukał towarzysztwa Anioli.

Anielka widziała te usiłowania młodzieńca i była mu wdzięczna za nie. I ona niekiedy odczuwała konieczność wyrwania się z koła swoich wspomnień, zdrowa jej młodość buntowała się czasem przeciwko temu smutkowi, narzuconemu przez nieszczęście.

Anielka czuła, że stanie na progu obłędu, jeżeli ciągle myśleć będzie o Kazimierzu, starała się więc sama zająć myśli czemś innym.

Czytała dużo w „kuchni“ i ochronce, pracowała więcej niż zwykle — tylko do szpitali chodzić z ciotką nie chciała, bo ranni żołnierze przypominali jej nazbyt żywo Kazimierza.

Wogóle widok żołnierskich mundurów sprawiał jej przykrość, bladła, kiedy zobaczyła na ulicy postać żołnierza.

Ogarniała ją wtedy rozpacz i jakiś szalony, bezrozumny gniew, że ci wszyscy żołnierze żyją, chodzą i piszą do swoich bliskich lub widują się z nimi.

— Tylko mojego Kazia niema! Tylko jego niema! — powtarzała sobie, zapominając, że jej los podziela wiele innych kobiet.

— — — — —
Park, do którego weszli Montwiłł z Anielką, rozbrzmiewał świergotem ptaków i gwarem głosów dziecięcych.

Świeża zieleń zaczynała już okrywać drzewa i krzewy i tryskała aksamitem trawników. Kwiatów jeszcze nie było, ale zapobiegliwość zarządu parku uprzedziła porę rozkwitania, tworząc sztuczne barwne kobierce kwietne z doniczkowych hacyantów, krokusów, tulipanów.

Powietrze przesycone było silną, jakby cieplarnianą wonią hyacynthów.

Anielka z pobłażliwym jakimś uśmiechem spojrzała na ten park miejski w przedwiosennej szacie.

— Co za nędzna imitacja przyrody! Jakże inaczej wygląda teraz na wsi, na naszej polskiej wsi. Tam wszystko pachnie, oddycha wiosną... A tutaj... No tak, ludzie wiedzą z kalendarza, że teraz wiosna, a uświadomić sobie w całej pełni dopiero wtedy, kiedy na targu pojawiają się nowalie, a na głowach kapelusze słomkowe...

— Przez litość, panno Aniolo, nie tak surowo! — zawołał wesoło Montwiłł — Wszak i tutaj ludzie czują wiosnę. Wszystko zaś jedno, jak i czem ona do nich przemawia: czy zapachem świeżo zoranej ziemi i runią bujnie wschodzących zbóż — czy bladą zielenią chorowitego drzewa miejskiego, bukieciem fijołków lub też nawet nowalijkami na targu jarzynowym i owocowym... Niech pani patrzy na te zabawione dzieci, one nie filozofują o wiosnie, nie porównują — ale czują ją, cieszą się nią... Panno Aniolo, proszę się stać na chwilę dzieckiem, nie myśleć, nie rozumować, tylko cieszyć się, że na świecie jest znowu tak ciepło i ładnie...

Ostatnie słowa wymówił miłym tonem prośby, w której zadźwięczała taka nuta czułości, że lekki rumieniec zabarwił bladą twarz Anioli.

Domyślała się ona już teraz uczuć Montwiłła dla siebie i była mu wdzięczna za to, że nie występował wyrażnie w roli zakochanego czy konkurenta.

W ten sposób bowiem mogła przebywać często w jego towarzystwie, prowadzić z nim długie rozmowy, które ją odrywały od czarnych myśli, nie uchybiając w niczem swej miłości dla Kazimierza i pamięci o nim.

A Anielka szczerze przyznawała się do tego przed sobą, że polubiła Montwiłła.

Podobała się jej jego twarz o pięknych, szlachetnych rysach, zajmował ją żywy i jak się przekonała, głęboki umysł młodzieńca, ceniła w nim naturę prawą i delikatną, którą odczuwała...

Nieraz przychodziło jej przez myśl:

— Gdyby Montwiłł i Kazimierz znali się, to napewno byłiby przyjaciółmi...

O tem, że te częste widywania się i rozmowy mogą podsycać miłość Montwiłła i budzić w nim jakieś nadzieje — nie myślała co prawda. Sumienie miała spokojne, nie kłamała przed nim, nie łudziła go niczem — a obecnie za dużo była zgnębiona i znekana, aby odtrącać przyjaźń sympatycznego jej człowieka.

Ten ton, jaki usłyszała teraz w głosie Montwiłła, zaniepokoił ją i zmieszał trochę.

Nie odpowiadając, poczęła rozglądać się po parku.

— Widzi pan — rzekła po chwili — tam koło wodotrysku jest wolna ławka. Usiądźmy, czuję się trochę zmęczona.

Usiedli.

Anielka z uśmiechem przyglądała się dzieciom, bawiącym się pod opieką matek lub nianiek.

Dzieciaki biegały, goniły się z głośnym tupotem

swych małych nóżek, szczebiotały jak ptaszęta, kruszyły bułki i ciastka dziwnie łagodnym, niepłochliwym szpakom i kosom, spacerującym poważnie i spokojnie po trawniku.

Mały jasnowłosy chłopczyk z ładną, śmiałą, zachowawcą buzią ustawiał tuż obok ławki, na której siedziała Anielka; ołowianych żołnierzy i naprzeciw nich blaszane armatki. Co jakiś czas wykrzykiwał po polsku:

— Laz, dwa, ci...

Widocznie bawił się w „wojnę“.

Jedna armatka, targana jego niecierpliwymi rączkami, zepsuła się. Chłopczyk zwrócił się o pomoc do swej opiekunki nianki.

— Niania, napraw almatę...

Ale służąca, zajęta żywą rozmową ze swoją sąsiadką, odsunęła dziecko.

— Daj mi spokój, Heniu, nie nudź. Dzieci mają się bawić grzecznie i nie przeszkadzać.

Henio ściągnął buzię do płaczu i rozejrzał się bezradnie wokół ze swoją zepsutą zabawką w ręczce.

Spojrzenie dziecka spotkało się z oczami Anioli. Chłopczyk nagłą ufaością zdjęty, podbiegł do niej śmiało:

— Pani, napraw almatę!

Rozweselona, spełniła to żądanie. Wzięła z rąk dziecka armatkę i zaczęła ją naprawiać. Ponieważ budowa zabawki była bardzo prosta, można to było zrobić z łatwością.

Anielka miała już oddać naprawione cacko dziecku, kiedy nagle spojrzenie jej padło uważniej na armatkę. W tej chwili dopiero uświadomiła sobie, co właściwie wyobraża ten kawałek blachy, czego jest symbolem.

Spojrzała na jasną twarzyczkę Henia, na jego drobne rączkę i zatrzymała rękę.

Gwałtownym ruchem zwróciła się do Montwiłła, pokazała mu armatkę, mówiąc wzburzona:

— Dlaczego dzieciom daje się do rąk takie zabawki?!

Scisnęła armatkę w dłoni, jakby pragnąc ją zgnieść, zniszczyć.

Henio z krzykiem i płaczem upominał się o zwrot swojej własności.

Anielka musiała mu oddać zabawkę. Henio pochwycił armatkę, postawił ją w szeregu z innymi i zaczął znowu wykrzykiwać:

— Telaż ty, telaż ja — bęc, bęc!

Anielka odwróciła oczy, aby nie patrzeć na tę zabawkę dziecięcą, która jej sprawiała głęboką przykrość.

A na zakręcie alei ukazały się teraz siostry Stasińskie w towarzystwie Krzyckiego.

Anielkę uderzyła zmiana, jaka zaszła w powierzchowności Hanki.

Hanka zdawała się odmłodzona, promieniejąca jakimś cichym wewnętrznym szczęściem. Zaróżowiła się zlekka jej blada, przedwcześnie przywidła cera, oczy błyszczały — na usta wystąpił uśmiech zadowolenia.

Ubrana była wbrew zwyczajowi swemu w białą bluzkę i jasny wiosenny kapelusz, który przywracał trochę świeżości jej nazbyt poważnej i surowej twarzy.

— Jak to jednak wiosna działa na ludzi — pomyślała Anielka.

Krzycki i Montwiłł zamienili ukłon, panie ukłoniły się Anioli.

Oczy Stasi zaiskrzyły się i zupełnie wyraźnie, wskazując siostrze i Krzyckiemu siedzącą na ławce parę, jąla mówić do nich coś tak żywo, że na twarz jej wystąpiły silniejsze rumieńce, a pierś poczęła szybciej falować.

Hanka usiłowała tłumaczyć coś, przeciw czemu Stasia protestowała gwałtownie.

Porucznik obrzucił Anielkę przelotnym spojrzeniem i uśmiechnął się jakoś lekceważąco. Anielka odczuła ten uśmiech, jak obrazę.

Dostrzegła i zrozumiała wszystko.

Domyśliła się, że ją podejrzewają o flirt z Montwillem i kokieterę — odczuła, że ją osadzają.

Gniew i żal zatargały Anielkę.

Dlaczego rzucają na nią takie podejrzewania Stasińskie, dla których przecież nie była tajemnicą historia miłości dla Kazimierza... — Dlaczego one, które uważała za przyjaciółki... To brzydkie, złe, niskie!

Po chwili przyszła jej do głowy nowa myśl, która ją przestraszyła.

A jeżeli ona rzeczywiście zawiniła, jeżeli częstym korzystaniem z towarzystwa Montwiłła bezmyślnie odrywała go od Stasi, która go kochała i cierpiała?

Czy jednak Montwiłł pokochałby Stasię, gdyby jej — Anioli nie poznał?

Anielka postanowiła dowiedzieć się tego natychmiast.